GŁOS NARODU

PRZYGODA NA MORZU

WSPOMNIENIA POLKI.

My Polacy jesteśmy narodem arystokratycznym, zawsze się mamy za coś lepszego niż jesteśmy, szczególnie w obec drugich. — Gdzieś, kiedyś czytałam nawet o tym przedmiocie czyjąś rozprawę,—więc to nie jest moja sentencja. To też i ja nie byłam lepszą od innych.

Wybierając się przed kilku miesiącami do Ameryki do Stanów zjednoczonych, oczywista rzecz, nie miałam odwagi puszczać się okrętem w ostatniej klasie, bo prawdopodobnie nie była bym wytrzymała tego zaduchu i brudu jakie panują pod pokładem. Jechałam zatem w II-giej kajucie.

Pobyt jednak na wolnej ziemi amerykańskiej, przejęcie się zwyczajami tamtejszemi, brak dostrzegalnych różnic w stroju i obejściu, bo każda nasza lady Kaśka i lady Maryśka chodzi w kapeluszu i schludnie ubrana a mister Piotr i mister Wojciech są przyzwoicie wygoleni i noszą kołnierzyki i krawatki, uczyniły mię demokratyczniejszą a przytem praktyczniejszą. Nasz ludek jadąc do Ameryki jest jeszcze prawdziwie „nasz", przy powrocie to już ludzie pokostem amerykańskim mniej lub więcej obciągnięci.

Więc gdy moje stosunki zniewalały mię do powrotu do Europy, a było to w początkach ubiegłego miesiąca grudnia, zdecydowałam się szybko, by jeszcze zdążyć na święta Bożego narodzenia do rodziny, — tembardziej, że zawsze dotąd Wilję przepędzałam w kole moich najbliższych. To też rozwiązawszy mój stosunek zależności, jaki mię wiązał i wydostawszy pieniądze deponowane w banku, udałam się do agencji „Hamburg Ameryka Linie" by się dowiedzieć o czasie odejścia okrętów tej kompanii z Nowego Jorku.

Dowiedziałam się zatem że 15-go grudnia odchodzi pospieszny śrubowiec „Deutschland" idące bardzo szybko, chluba marynarki niemieckiej, gdyż niedawno przecie jeździł książe Henryk brat cesarza niemieckiego na nim do Ameryki, a idący wówczas w zawody z nim dwa okręty innych kompanii nie mogły mu dorównać.

Bardzo mię też to ucieszyło i liczyłam napewne na powrót na Święta do Krakowa.

Wiedziałam już poprzednio, że „Zwischendek" na „Deutschland" jest podzielony na kilka przedziałów, a postanowiłam jechać pod pokładem.

Jakoś podróż mi się świetnie nie zapowiadała! — wyjechawszy bowiem z Chicago 13-go grudnia—ta cyfra się za mną przez cały mój krótki jeszcze żywot wlecze, spostrzegłam w drodze, że zapomniałam szkaplerza, który zawsze noszę! Zrobiło mi się gorąco od tego odkrycia, a pomimo uczucia, że w krótce będę w kraju w gronie mej rodziny i najbliższych, równocześnie jakiś dreszcz przeszedł po mojem ciele, przykre smętne myśli mną owładnęły! — Wszak to zima, burze na morzu! moi znajomi odradzali mi wszyscy, by teraz nie jechać, tylko czekać do wiosny. Ale Wilja? mam ją spędzić między obcymi, oni nie znają tego zwyczaju, nie mają pojęcia o cieple i błogiem uczuciu jakie daje ten wieczór w gronie drogich nam osób!...

Pociąg który pędził z wielką chyżością i trząsł niemiłościwie wielkiemi amerykańskiemi Carami, nagle począł zwalniać w biegu, jakiś niesłyszany poprzednio szum dochodzi mych uszu, — ten szum zamienia się w jednostajny grzmot! — jesteśmy przy wodospadzie Niagara, pociąg powoli przechodzi

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu" z dnia 21 Czerwca 1903 r.

przez most, przed nami ściana lodowa zakrywa wodospad. — Moje smutne myśli pierzchły wobec tego cudu natury, który kolosalnością swoją niema nic podobnego na świecie. Wkrótce nastąpiło Buffalo — przesiadam się do innego pociągu, nowe towarzystwo, ruch, więc znów zadowolenie i wesołość wróciła.

Na drugi dzień na „pier'ze" (bulwar przybrzeżny) w Hoboken stał „Deutschland" i czekał odjazdu; jakie 10 prywatnych kapel przygrywało, bądź osobno, bądź razem wesołe melodye.

Podróżni i żegnający ich, zamieniali uściski, w niejednem oku błyskała łza, powiewały chustki. Ruszyliśmy. Kapele rozpoczęły w zawody kolosalną kakofonię, jeszcze kilka donośnych głosów dało się słyszeć, powiew chustek stał się generalny! Tylko mnie nikt nie żegnał i ja nikogo; pomimo to, żal mi było odjeżdżać z tego pięknego i bogatego kraju, ale myśl, że jestem coraz bliżej mych najdroższych, których tak dawno nie widziałam, stłumiła prędko ten żal i napełniła mię rzewnością.

Zwischendek na „Deutschland" (wątpię czy jest polski wyraz na oznaczenie tej przestrzeni w okręcie) jest podzielony na trzy części, ogólny salon dla obojga płci, salon dla kobiet samotnie podróżujących i salon dla samych mężczyzn.

Ponieważ już w Aguncyi w Chicago, powiedziano mi, że za dopłatą odpowiednią mogę mieć lepszy wikt, a jak się potem pokazało, był on całkiem dobry, przeto zamówiłam go sobie. Zaczęło się robienie znajomości, grupowanie narodowości; wielką uciechę mi sprawiło, gdym spostrzegła między podróżnymi pewnego pana, który razem ze mną płynął na wielkiej „Pensylvanii", w drugiej kajucie do Ameryki, a teraz na Zwischendeku wracał również do Eropy.

Byliśmy na pełnym morzu już trzy czy cztery dni, gdy pośród nocnego snu zbudził mię okrutny huk i łoskot, w tej chwili nieliczne lampki żarowe, które zostawiają na noc płonące, zgasły; nastała ciemność a nad nami dał się słyszeć piekielny łomot łańcuchów! Spuszczono pospiesznie kotwice!

Okręt, który poprzednio trząsł się i huśtał, stanął cichutko. Wystraszona pomyślałam: to moja ostatnia godzina! Zewsząd dał się słyszeć lament i płacz. Poleciłam się Bogu, przed oczami mej duszy stanęła matka, siostra i inni najbliżsi! Już was nie zobaczę! Za chwilę wpadła na wpół ubrana Mamsel (nasza służąca raczej żeński Steward) i zaczęła nas uspakajać, ale sama nie wiedziała co się stało. Podeszłam do luki okrętowej (okienka) i otworzyłam go; okręt stał cichutko a tylko lekki plusk fali muskającej jego boki dawał się słyszeć. Co to było? Powoli miejsce strachu zajęła ogólna ciekawość, gdy już po półgodzinie zabłysły na nowo lampki i wlały swem światłem otuchy.

Stary majtek, który nam się nawinął, objaśnił nas, że cylinder u maszyny pękł. Ale myśmy wszystkie czuły, że służba ukrywa przed nami wypadek, bo nam niechciano dawać żadnych wyjaśnień. Gdy się dzień zrobił, podniesiono kotwicę i wyruszyliśmy w drogę, ale wspaniały „Deutschland" płynął teraz gładko jak rybka, nie trząsł, nie kołysał na boki, gdyż płynął połową swej zwykłej chyżości! Dobiliśmy do Santkampton, potem za kilka godzin do Cherbourga i przystanąwszy jeszcze raz na morzu kilka godzin, przywlekliśmy się do Cuxhaven. — Wysiadamy! Oprócz nas z Zwischendeku, których było sporo, z innych kajut wysiadło tylko kilku panów i jedna pani z I-szej kajuty sparaliżowana. — Ta nam dopiero prawdę odsłoniła! Pękł jeden z licznych kotłów, co spowodowało częściowe wysadzenie i pogruchotanie nad nim leżących kajut I. i II. klasy. — Ilu pasażerów przy tem postradało życie, lub ilu okaleczało, to wie tylko kompania okrętowa. — Pasażerowie z tych kajut, co ocaleli, powynosili się wszyscy już w Anglii lub Francyi. — Tak za Boską wolą wyszłam cało z tej przygody! Wprawdzie tym razem wieczór wigilijny w gronie rodziny przepadł był dla mnie, ale bodaj w pierwsze święto Bożego Narodzenia, dotarłam szczęśliwie, zdrowa i szczęśliwa do mych najdroższych i do kochanego Krakowa.

J. L.

LISTY Z ZA PIRENEJÓW.

Malaga, w maju 1903.

Było to w Barcelonie. Prosto z wagonu dostałem się w objęcia serdecznego Don Leopolda Casablanci i nim doczłapałem się do mojej dawnej fondy (hotelu) już wpadłem w wir i sedno barcelońskich nadziei, goryczy i skarg.

Don Leopoldo zdawał mi sprawę ze strejku robotników fabryk żelaznych, z buntu „tramwajarzy", z trzęsienia ziemi w okolicy Gerony, z ostatnich wiadomości o zdrowiu Alfonsa XIII, a jako prawdziwy patryota barceloński miał jeszcze czas wskazywać na nowo pobudowane kamienice, nowe porządki, nowy ład, nowe urządzenia, świadczące i o zapobiegliwości municypalności i o szybkim wzroście stolicy Katalonii.

Słuchałem uważnie Don Leopolda, zdumiewałem się bardzo umiejętnie, dziwiłem, chwaliłem, współczułem — lecz snać nie dość szczerze, bo mój hiszpański przyjaciel spochmurniał i umilkł nagle.

Nie starałem się bynajmniej przerywać milczenia, z góry będąc pewnym, że przerwanie go narazi mnie na nowy wybuch patryotyzmu miejscowego — a przyznam się, że byłem nim zmęczony dostatecznie i to od samego Paryża! Nigdzie bowiem prowincyonalizm nie kwitnie tak bujnie jak na południu Francyi a nigdzie nie rzuca tak wielkiego cienia na cele narodowego dobra, jak w Hiszpanii.

Dość ulokować się w przedziale wagonu na dworcu lyońskim lub orleańskim — aby cię współpasażer zaczął piłować na dwoje pięknościami Bordeaux czy Lyonu, żeby nie uśmiechał się ironicznie na wieść, iż nie znasz tych cudów i nie przekonywał cię o twej własnej ciemnocie.

Owe naiwne zapały często bawią z początku, lecz gdy w miarę jazdy mniej więcej to samo dowiadujesz się o Avinionie, Nimes, Tarasconie, gdy nareszcie Montpelierczyk dowied[illegible] ci, że takiej „promenady“ jak Peyrou niema na całym świecie, gdy Tulończyk do oczu ci skacze z aksyomatem, iż Paryż nawet niema takiego bulwaru Sewastopolskiego, jak Tulon, a nareszcie Marsylczyk wyrokuje, pykając z fajeczki, że gdyby Paryż miał bulwar „Cannebiére“ to byłby... małą Marsylią — ogarnia cię pasya, złość. Zęby zaciskasz, topisz nos w skrawku gazety — byle uniknąć tego objęcia geograficznego trzech departamentów.

A ze mną było gorzej jeszcze, bo jechałem z Montpellier, gdzie w pensyonacie przez wszystkie śniadania i obiady musiałem wysłuchiwać epowiadań podróżniczych wdowy po kapitanie saperów. Wdowa podróżowała wiele, bo prócz Paryża znała Tulon, Brest, Lyon, Dordogne i Hiére. Wskutek tego, posiadała niewyczerpane środki do zdumiewania i p. Vignier, dekorowanego radcy magistratu i pana Dupontaille, podprefekta miejscowego i całej progenitury pani domu, która całokształt swoich wyobrażeń zasadzała na postulatach: „precz z księżmi“ — „Bóg jest straszydłem gminu“ — „dosyć szopek z religią“.

Po takiem trzytygodniowem odżywianiu się duchowem, gdzie dwunastoletnie wyrostki dawali wyraz wywrotom p. Combesa, a wdowa po kapitanie saperów skreśliła obrazy etnograficzno-francuskie, a dopełniała wiadomości przyszłego (z pewnością) prefekta pana Dupontaille — doprawdy trudno mi było być wyrozumiałym na patryotyzm barceloński, zaczynający się na kolumnje Kolumba w porcie, i kończący na kolejce elektrycznej na górę Tibidabo.

Don Leopoldo snać odczuł moją obojętność, bo namyśliwszy się — rzekł z błyskiem „eureka“ w oczach:

— Hombre! (człowieku, najpoważniejszy zwrot przyjacielski w Hiszpanii, w odróżnieniu od wyrażenia polskiego „ludzie“ w znaczeniu niższej... warstwy), Mam coś dla ciebie! Jutro przyjeżdża Salmerón.

— Kto — kto!

Don Nicolas Salmeron, były prezydent naszej krótkiej rzeczypospolitej hiszpańskiej, głowa stronnictwa republikańskiego! Rozumiesz, człowieku, manifestacya — kolosalna manifestacya! Psyt! Hombre! Zatrzymaj konie! Na rogu jest proklamacya!

Woźnica, szturknięty parasolem, przystanął, a ja, pociągnięty przez don Leopolda, wpadłem w odmęt kotłującego się przed wielkim afiszem tłumu.

Proklamacya była lakoniczną a ognistą. Strzelisty adres „rodacy“, pięć gromów na „haniebny“ rząd i „łotrowską“ administracyę, a potem zapowiedź przyjazdu mesyasza, don Nicolasa, bez mała rozkaz stawienia się nazajutrz po południu na placu Katalońskim pod kawiarnią Kolumba!

Ten śmiały manifest zdziwił mnie, ahoć już miałem wielkie wyobrażenie o swobodzie hiszpańskiej.

— Za pozwoleniem, ale bo takie wezwanie, to... to... przecież wprost napad na władze!

— Więc cóż?!

— No, że to pozwalają?!

— A któż może komu zabronić?! — odpowiada. dobrodusznie don Leopoldo. — Wydrukowali, przylepili w miejscu, gdzie właściciel muru nie wywiesił zakazu nalepiania afiszów — i wszystko w porządku.

— Tak, ale przedstawiciele rządu...

— Wolno ich krytykować!

— Lecz, czy i wzywać do rebelii?!

— Tu nie ma rebelii, to jest agitacya.

— Antipaństwowa!...

— Jak kto rozumie swobodę przekonań! Ja sądzę, że nie dość posiadać swobodę myśli, boć ta jest zawsze, czy państwo zakazuje czy nie — trzeba jeszcze uszanować swobodę apostolstwa, głośnego wyznania, krzewienia!...

— Zupełnie się zgadzam — lecz w takim razie król... dla... was...

— Hombre! — przerwał mi niecierpliwie don Leopoldo. — Nadewszystko nie jestem republikaninem, a powtóre, nie widzę zasady przeszkadzania Salmeronowi w dowodzeniu swoich racyj! Zresztą, zobaczysz pan jutro!...

Zbity temi zagmatwanemi wyobrażeniami a przyzwyczajony nawet we Francyi do odbierania kułaków od policyantów, porządkujących „obywateli“ przy lada zbiegowisku, nie bez pewnego ociągania się szedłem nazajutrz na rozległe palmami ustrojony plac Kataloński, rozglądając się zawczasu, w którą stronę najdogodniej będzie uciekać przed szarżą kawaleryi... Aliści, nie wyrozumiały na moje obawy don Leopoldo tak mnie wiódł, żem anim się obejrzał, jak wciśnięto mnie w sam środek falującej, rozkrzyczanej zawały ludzkiej.

Natężyłem łokcie, podniosłem oczy ku górze, lecz krom pustych balkonów kawiarni Kolumba, oślepiające białego nieba i kotłujących się dokoła mnie głów ludzkich nic nie widzę...

Temperatura podnosi się, bezładne okrzyki wzmagają się, słońce praży nielitościwie — próbuję zagadać do don Leopolda — ani myśli!

Nagle poza mną dobywa się piskliwy głos:

— Niech żyje Salmeron!

Tłum ryknął, odkryły się głowy, ręce złożyły się do piekielnie przeraźliwego oklasku.

— Niech żyje Salmeron; — Wiwat prezydent! Niech żyje Rzeczpospolita! — Precz z rządem! Wolność!

Pocę się, szukam miejsca dla podniesienia klatki piersiowej, aż boksowany, naciskany, deptany zaczynam boksować, naciskać, deptać. Energia odruchowa daje mi wolny przestwór. Równocześnie tłumy się uciszają, podchwytuję napomnienie don Leopolda.

— Patrz, hombre, na balkon!

(wybornie), bije oklaski i huczy imieniem Salmerona.

Mowa trwa około dwudziestu minut — a po niej następuje wybuch entuzyazmu wściekły, nieokiełznany.

— Precz z królem! — Zgarrotować Burbonów.

— Niech żyje Salmeron! — Niech żyje rzeczpospolita hiszpańska!

Trzeszczą oklaski — kapelusze wzbijają się do góry — wezwania zyskują na radykalności i dosadności... Setki mowców domorosłych wspina się po plecach przyjaciół nad tłum i zaczyna skazywać na śmierć dynastyę, klnie „gubierno“ (rząd) plwa na cały ustrój państwowy, coraz krwawszą



Zamordowana królowa Draga.



Zamordowany król Aleksander Serbski.

Podnoszę oczy. Na pustym przed chwilą balkonie stoi mały człowieczek w czarnym tużurku, o twarzy wydatnej okolonej krótkim szpakowatym zarostem, wielkiej łysinie i podwyższonem wskutek tego czole.

Staruszek kłania się i rozkłada ręce. Kilku panów, stojących za nim, czyni to samo, i staruszek, a raczej don Nicolas Salmeron, zaczyna mówić.

Tłum milknie, lecz mimo tego uciszenia, samym szmerem oddechów a tętnem serc głuszy słowa narodowego trybuna.

Salmeron gestykuluje, potęguje głos — lecz ani słowa pochwycić nie mogę. Tłum jednak, na dobrą wiarę gestów, ryczy co chwila: *muy bien!*

poprzysięga zemstę — wreszcie kończy na szczególnem wymienianiu nicponiów, łapowników i niedołęgów!

Salmeron kłania się, fala głów tacza się, a ja, skłaniając się razem z nią, jako karny... Europejczyk, czekam na dźwięki trąbki i pierwszą salwę karabinową...

Nareszcie Salmeron znika z Balkonu. Tłum wywołuje go. Salmeron wychodzi raz, drugi, trzeci... dziesiąty... zaczyna się rozluźniać. Zamieniamy z don Leopoldem znaczące spojrzenia i rzucamy się na przebój w stronę „Sasco do Grawa“. Po piętnastuminutowych wysiłkach wydostajemy się na boczną ulicę i poglądamy na siebie.

Tłum manifestujący stoi jeszcze ujęty w łań-

cuchy... czekających cierpliwie na wolny przejazd... wehikułów, pojazdów i tramwajów..

Tłum o rozejściu się ani myśli. Komunikacya w całem mieście zatamowana, a do ładu nie dojdzie prędko, bo... teraz dopiero ukazują się kohorty chłopaków z drukarni, sprzedających wygłoszone co dopiero... el discurso de Salmeron".

Teraz więc dopiero manifestujący zaczytują się w piorunujących słowach republikańskiego prowodyra — teraz następuje zenit...

— Za pozwoleniem, ale groźby pod adresem króla?

— Hm! Właściwie nie powinny mieć miejsca, ale... uważa pan, to z gorącości serca, bo naprawdę, „król-dziecko" nikomu nie zawadza! Tylko „gubierno", a „gubierno" jest gałgańskie!

Tak się odbyła głośna manifestacya republikańska, o której paryskie „Figaro" a za niem



Matka króla Aleksandra.



Piotr. Karageorgewicz nowy król Serbski.

Całą tą manifestacyą byłem tak przejęty, podniecony — że ledwie mocne pociągnięcie za połę tużurka — zdołało powrócić mi uwagę dla słów don Leopolda.

— Co, podoba się panu? Hę!

— Istotnie zdumiewam się waszej wolności... policya...

— Policya niema tu nic do roboty! Patrz pan, ani jednego agenta! Bo, uważasz pan, gdyby się bili, chcieli czynnie występować... niewątpliwie wystąpiłoby wojsko...

nasze pisma... polskie obwieściły światu o armatach na ulicach i setkach trupów... Pieniądze hiszpańskie spadły — a kilka dzienników francuskich zamieściło pełne westchnień artykuły o przemocy rządu hiszpańskiego! — Niechby spróbowały wypowiedzieć tak otwartą wojnę już nie p. Combesowi lecz chociażby panu Lepinowi prefektowi policyi — a oceniłby, jak dalece „liberte" francuska stoi w tyle za hiszpańską!

Wacław Gąsiorowski.

HOTEL BABILON

PRZEZ ARNOLDA BENETT'A.

(Ciąg dalszy).

— Załatwiłem tę sprawę w najprostszy sposób, zapewniam pana.

— Panna Spencer i Julian, oboje wydaleni w jednym dniu! — dziwił się Babilon.

— Nikt dotychczas nie zajął ich miejsca, a jednak bieg rzeczy w zakładzie idzie zwykłym trybem — zauważył Racksole.

— Powróciwszy do hotelu, milioner spostrzegł ze zdziwieniem, że na krześle, zajmowanem poprzednio przez pannę Spencer, siedziała młoda

dama, która przybrana z powagą w czarną suknię.

— Wielkie nieba! Nello, co ty tu robisz? — zawołał, wchodząc do biura.

— Spełniam porzucone przez pannę Spencer obowiązki — odparła młoda dziewczyna. — Chcę ci pomagać, papo, w zarządzie hotelem. Sądzę, że będzie ze mnie doskonały kantorowicz. Ułożyłam się z panną Celiną Smith, utrzymującą rachunki w kuchni; obznajomi mnie ona z całą manipulacyą biurową i zobaczysz, że dam sobie radę.

— Zastanów się! strofował ją ojciec. — Cały Londyn bawić się będzie naszym kosztem. — Helena Racksole, najposażniejsza w Ameryce jedynaczka, sekretarzem w kantorze hotelowym!... A ja tu przyjechałem zażyć spokoju!

— Przypuszczam, że to w celu odpoczynku i spokoju nabyłeś hotel, papo?

— Nabyłem go, bo ci się zachciało befsztyku — odpowiedział. — Teraz wyjdź stąd proszę!

— Tu jestem i tu zostanę — rzekła Nella, śmiejąc się z zakłopotania ojca.

W tei chwili ukazała się w okienku jasnowłosa głowa mężczyzny lat około trzydziestu. Był starannie ubrany i miał arystokratyczny wygląd, lubo twarz jego zdradzała pewne rozdrażnienie.

— Ujrzawszy Nellę, cofnął się.

— Ach! to pani! — zawołał.

— Tak, to ja, z przeproszeniem waszej ekscelencji. Ojcze, przedstawiam ci jego wysokość księcia Aribarta von Rüdesheim, znakomitego gościa, nawiedzającego zwykle ten hotel.

— Znane *Fräulein* moje nazwisko? pytał nowoprzybyły po niemiecku.

— Naturalnie, mój książę — odpowiedziała Nella. — Byłeś wprawdzie tylko hrabią Steenbock przeszłej wiosny w Paryżu, podróżując incognito.

— Cicho! — prosił, dając znak ręką, a twarz jego pobladła.

Co przytrafiło się Reginaldowi Dimmock.

Po chwili wszyscy troje rozmawiali z sobą swobodnie, bez żadnego przymusu. Książę Aribert zachowywał się względem Nelli z uprzejmością, nawet z szacunkiem, a jej ojcu okazywał więcej przyjacielskiej poufałości, niżeli upoważniała do tego różnica ich stanowisk społecznych. Amerykanin studyował z zajęciem reprezentanta książęcego rodu, z którym był po raz pierwszy w zetknięciu. Znalazł, że młody człowiek przedstawiał się przyzwoicie i że byłby z niego wyjątkowo dobry agent jakiej pierwszorzędnej firmy kupieckiej. Tak oceniał Racksole na pierwszy rzut oka człowieka, który mógł kiedyś zasiąść na tronie udzielnego księstwa Rüdesheim.

Nella w myśli zrobiła uwagę, wywołując uśmiech na jej usta, że biuro kantoru hotelowego nie była miejscem odpowiedniem do podejmowania wysoko urodzonego gościa. Stał on przed okienkiem z głową wsuniętą do środka, ręką opartą o framugę, jak gdyby był pospolitym wekslarzem, przybyłym dla wymiany pieniędzy, lub komisantem którego z newyorskich Towarzystw akcyjnych.

— Czy wasza Wysokość podróżuje sam jeden? — pytała panna Racksole.

— Tak się złożyło wskutek niespodzianych okoliczności; mój giermek miał się spotkać ze mną na stacyi Charing Gross, ale mnie zawiódł, nie rozumiem z jakiego powodu.

— Mowa o panu Dimmock? — dowiadywał się Racksole.

— Tak, o Dimmocku; nie pamiętam, iżby k[illegible]dy nie stawił się na słowie. Znają go państwo?

— Obiadował wczoraj wieczór z nami, zaproszony przez Nellę — objaśniał Racksole, spoglądając na córkę z uśmiechem żartobliwym. — Dziś nie widzieliśmy go jeszcze. Wiem tylko, że zamówił apartament dworski i przylegające doń pokoje pod numerem 55. Wszak tak Nello?

— Tak, papo — odparła zagadniona, przejrzawszy pierwej listę lokali. — Wasza wysokość życzy sobie niewątpliwie być zaprowadzonym do swego pokoju... do swego apartamentu, powiedzieć chciałam.

To rzekłszy, Nella roześmiała się i dodała:

— Co prawda, nie wiem, kto właściwie ma tam księcia zaprowadzić; tak papa, jak ja nie obeznani jesteśmy jeszcze z przepisami hotelowymi. Zostaliśmy wczoraj dopiero właścicielami zakładu.

— Jakto? kupiliście państwo hotel? — zawołał książę.

— Tak jest — przytwierdził Racksole.

— Feliks Babilon wydalił się stąd?

— Wydalił się, jeśli już nie odjechał.

— Widzę, że to jedna z waszych amerykańskich sztuczek — zauważył książę. — Kupiliście hotel aby go odprzedać z zyskiem. Bawicie państwo w Europie dla rozrywki, ale nie możecie oprzeć się chęci zarobienia kiku tysięcy funtów szterlingów, gdy nadarza się sposobność ku temu.

— Nie myślimy o odprzedaży, mój książę, chyba że znudzi nam się zrobiony nabytek. Niekiedy kupno uprzykrzy się prędko, niekiedy znajdujemy w niem upodobanie przez dłuższy przeciąg czasu. Zależy to... Eh! cóż tam znowu?...

Raksole przerwał nagle, ujrzawszy służącego w liberji, który, wszedłszy pocichu do kantoru, dawał mu tajemnicze znaki. Ruchami rąk zdawał się nalegać na milionera, aby szedł za nim śpiesznie.

— Proszę nie zważać na moją obecność — rzekł książę, i właściciel hotelu, złożywszy znakomitemu gościowi niezręczny ukłon, podążył za służącym.

— Czy mogę wejść? — zapytał książę Nelli, gdy tylko odszedł jej ojciec.

— Niepodobna — odparła, śmiejąc się, młoda dziewczyna. — Surowy regulamin wzbrania obcym wejścia do kantoru.

— Co pani możesz wiedzieć o surowym regulaminie, skoro nabyliście hotel zaledwie wczoraj wieczorem.

— Regulamin ten sama postanowiłam dziś rano.

— Na seryo, panno Racksole, potrzebuję rozmówić się z tobą.

— Chcesz pan rozmawiać jako książę Aribert, czy też jako... przyjaciel, którego przeszłego roku poznałam w Paryżu?

— Jako przyjaciel, kochana pani, jeśli wolno mi rościć pretensyę do tego miana.

— Książę nie życzysz sobie pierwej rozgościć się w swoich pokojach?

— Wolę poczekać na Dimmocka; musi przybyć niebawem.

— W takim razie wypijmy herbatę w pokoju mego ojca, to jest w prywatnem mieszkaniu właściciela hotelu.

— Godzę się na to chętnie — oświadczył książę.

Nella telefonowała, naciskała różne dzwonki, zachowywała się tak, aby przekonać księcia, jak również mogących zgłaszać się ludzi, że posiada znajomość interesów hotelowych i instynktownie nabyła umiejętność zarządzania zakładem. Wstawszy wreszcie ze swego urzędowego siedzenia, poprowadziła księcia Ariberta do pokoju, umeblowanego w stylu Ludwika XV, w którym Feliks Babilon i jej ojciec odbyli poprzedniego wieczoru długą konferencję.

— Co pan powiedzieć mi chciałeś? — zapytała gościa, podając mu drugą z kolei filiżankę herbaty.

Książę odebrał z rąk jej czarę, a będąc młodym człowiekiem, pełnym temperamentu, nie mógł w tej chwili myśleć o czem innem jak tylko o wdzięku stojącej przed nim kobiety. Nella rzeczywiście pięknie wyglądała tego południa. Piękność choćby najpowabniejszej kobiety ma chwile dodatnie i ujemne; dla urody Nelli był to dzień dodatni. Bystra, zwinna, stanowcza a jednak niezrównanie urocza, zdawała się promienieć radością i bujnością życia.

— Zapomniałem — odparł książę.

— Zapomniałeś pan! Czy godzi się postępować w ten sposób? Dawałeś mi do zrozumienia, że to rzecz wielkiej wagi. Z góry jednak wiedziałam, iż spotka mnie zawód; żaden mężczyzna, a zwłaszcza żaden książę nie rozmawia o rzeczach ważnych z kobietą.

— Zechciej pamiętać, panno Racksole, że dziś nie jestem księciem.

— Czy będziesz pan obecnie hrabią Steenbock?

— Dla pani tylko — rzekł, a zniżając głos, dodał: — Panno Racksole, życzę sobie aby nikt nie wiedział, że byłem przeszłej wiosny w Paryżu.

— Tajemnica stanu? — pytała, śmiejąc się.

— Tajemnica stanu — odparł z powagą. — Dimmock nawet nie domyśla się tego. Dziwne zdarzenie sprawiło, że spotkaliśmy się w owym cichym, odosobnionym hotelu; dziwne ale bardzo przyjemne. Nie zapomnę dżdżystego popołudnia, które spędziliśmy w muzeum na Trocadéro. Pomówmy o tem lepiej

— O deszczu, czy o muzeum? — pytała złośliwa dziewczyna.

— Nie zapomnę nigdy tamtej chwili — powtórzył książę, nie zwracając uwagi na słowa towarzyszki.

— Ani ja — szepnęła Nella, jak gdyby uczucia jego znajdowały oddźwięk w jej sercu.

— Mile wspominasz pani razem spędzone godziny?

— Rzeźby w muzeum wspaniałe — odpowiedziała wymijająco, wzrok utkwiwszy w sufit.

— Niewątpliwie — przytwierdził. — Powiedz mi, panno Racksole, jakim sposobem dowiedziałaś się o prawdziwem mojem nazwisku?

— Tego wyjaśnić nie mogę; to tajemnica, której nie radzę księciu dochodzić. Gotówby pan odpokutować za daleko w tym względzie posuniętą ciekawość — mówiła, śmiejąc się wesoło, chociaż książę, zadumany, nie podzielał jej wesołości.

— Nie miałem nadziei spotkać się z panią — rzekł po chwili.

— Dlaczego pan wątpiłeś?

— Bo nigdy nie spotykamy tych, których widzieć pragniemy.

— Co do mnie, byłam pewna, że los zbliży nas jeszcze.

— Skąd czerpałaś pani tę pewność?

— Z faktu, że zawsze osiągam, to czego pragnę.

— Więc pragnęłaś widzenia ze mną?

— Nie przeczę. Rozumiemy się wzajemnie doskonale. Nie spotkałam człowieka, któryby trafniej oceniał piękność rzeźby, jak hr. Steenbock.

— Czy istotnie każde życzenie pani bywa spełnione, panno Racksole?

— Każde spełniało się dotychczas.

— Przypuszczam, iż zawdzięczasz to pani bogactwom ojca.

— Bynajmniej; zawdzięczam poprostu temu, że umiem dążyć do celu. W takim razie nie odwołuję się wcale do papy.

— Ojciec pani jest bardzo bogaty.

— Bogaty — niedostateczne określenie. Nie znajduję wyrażenia odpowiedniego. Przerażającą jest ilość posiadanych przez biednego papę dolarów, a co najgorsze, powiększaniu się ich sumy przeszkodzić nie może. Mówił mi raz, że gdy człowiek zarobi pierwsze dziesięć milionów, żadna siła na ziemi nie powstrzyma wzrostu w dwójnasób tej cyfry. Staram się wydawać jaknajwięcej pieniędzy, ale nie zdołam roztwonić ani części dochodów naszych. Papa także nie rachuje się z wydatkami.

— Pani nie masz matki?

— Któż to panu powiedział? dowiadywała się z zajęciem.

— Ja... niby... zasięgałem o pani wiadomości — odparł szczerze.

— Mimo przekonania, że pan nie spotkasz się ze mną nigdy?

— Tak jest; pomimo przekonania.

— Dziwne bardzo! — rzekła, popadając w zadumę.

— Życie pani obfite być musi w ciekawe epizody — rzekł książę. — Zazdroszczę jej wielu rzeczy.

— Czego mi pan zazdrościsz? Bogactw mego ojca?

— Bynajmiej — zaprzeczył. — Zazdroszczę twojej swobody, twoich łatwych do spełnienia obowiązków.

— Nie mam żadnych — dowodziła.

— Przepraszam; masz je pani i nadchodzi czas, w którym obowiązki te spełniać będziesz musiała.

— Jestem tylko kobietą — zauważyła z prostotą — ale na panu, hrabio, ciąży wielka odpowiedzialność.

— Na mnie? mylisz się pani — mówił z odcieniem smutku. — Stanowię osobistość mało znaczącą, księcia wysoko urodzonego, zmuszonego czuwać nieustannie nad tem, co Wysokości wolno czynić, a czego nie wolno.

— Gdyby jednak umarł pana synowiec, książę Eugeniusz, czyż nie zasiadłbyś na tronie i czyż nie ciężyłaby na panu odpowiedzialność za rządy krajem, których zdajesz się pragnąć gorąco?

— Eugeniusz miałby umierać? To nie możliwe! — zawołał książę. — Jest wyjątkowym okazem siły i zdrowia; za trzy miesiące wstępuje w związki małżeńskie. Nie, nie będę nigdy czem innem, jak książęcą Wysokością, najnędzniejszą istotą wśród stworzeń Bożych.

— Czyż owa tajemnica stanu, o której pan wspominałeś, nie wytwarza również odpowiedzialności?

— Oh! to zapadło w przeszłość bezpowrotnie — dowodził. — W monotonnym trybie życia mego zaszła niespodziewana przygoda. Nigdy już nie będą hrabią Steenbock.

— Kto wie! — zawołała. — Wszak książę Eugeniusz przyjeżdża do Londynu? Wspominał nam o tem pan Dimmock.

— Zwierzę się pani ze wszystkiego — odparł książę, wstając i pochylając się nad młodą dziewczyną. — Nie umiem sobie tego wytłómaczyć, ale budzi pani we mnie ufność zupełną.

— Nie zdradzaj pan tajemnic stanu... — przestrzegała żartobliwie.

W tej chwili drzwi otworzono z hałasem i usłyszano głos Racksola:

— Wejdźcie tutaj!

Dwóch ludzi wniosło na tragach sztywnie leżącą postać. Za nimi postępował milioner.

Nella zerwała się z krzesła, a Racksole spojrzał na córkę z trwogą.

— Nie wiedziałem, że tu jesteś, Nello. — Zawróćcie! — rozkazał tragarzom.

— Czemu? — pytała młoda dziewczyna, patrząc z przerażeniem na leżące na noszach ciało. — To pan Dimmock!

— Tak jest — przytwierdził jej ojciec. — Dimmock nieżywy. Byłbym wolał cię przygotować do tak przykrego wypadku. Wybacz książę!

Nastąpiła chwila grobowej ciszy.

— Dimmock nie żyje! — szepnął głosem stłumionym książę Ariberti ukląkł obok trupa swego towarzysza. — Co mu się przytrafić mogło?

— Biedny chłopiec był już niedaleko bramy hotelowej, gdy padł na ziemię. Posłaniec, stojący na rogu ulicy, widział, iż szedł prędko bardzo. Zrazu przypuszczałem, że to porażenie słoneczne, ale upał nie jest tak wielki, iżby usprawiedliwiał podobny wniosek. Skończył zapewne wskutek choroby serca. Robiliśmy, co było można, by go przywrócić do życia, wszystko daremnie. Posłałem po lekarza i po policję. Zapewne spiszą protokół.

Po tych słowach Racksola zapanowało znowu głębowie milczenie; zebrani spoglądali z żalem na zmarłego młodzieńca. Śmiertelna bladość pokryła jego oblicze, oczy miał przymknięte, zdawał się w śnie pogrążony.

— Mój biedny Dimmock! — zawołał książę złamanym głosem — miałem mu za złe, że nie podążył na moje spotkanie do Charing-Cross!...

— Jesteś pewny, ojcze, że on nie żyje? — pytała Nella.

— Lepiej odejdź stąd, moje dziecko — brzmiała odpowiedź Racksola, ale młoda dziewczyna nie posłuchała rady; stała na miejscu i płakała cicho. Przeszłego wieczoru bawiła się kosztem Reginalda Dimmocka, ściągając od niego wiadomości, które obchodzić ją mogły; wyśmiewała w duchu jego młodzieńczą naiwność, niedoświadczenie, zarozumiałość. Nie ufała mu, znajdywała go nieprzyjemnym... Teraz jednak, patrząc na martwe ciało Dimmocka, wyrzucała sobie nieusprawiedliwioną niechęć swoją do zmarłego. Taki wpływ wywierać zwykł na nas majestat śmierci.

— Proszę zanieść ciało do moich pokojów — odezwał się książę — i przywołać prędko lekarzy.

Milioner zrozumiał, że w owej chwili odgrywał jedynie rolę właściciela hotelu, mającego przykrą do załatwienia sprawę. Przez pół sekundy żałował zrobionego kupna.

W kwadrans później książę Aribert, Teodor Racksol , lekarz i inspektor policyi zebrani byli w bawialni księcia. Wyszli przed chwilą z pokoju, w którym spoczywały zwłoki Dimmocka.

— Co było przyczyną zgonu? zapytał Racksole, patrząc na lekarza.

— Śmierć nie nastąpiła wskutek choroby serca — odparł zagadniony.

— A wskutek czego? — dowiadywał się książę.

— Odpowiem na to pytanie dopiero po sekcji — rzekł lekarz. — Wyjaśnień dawać teraz nie jestem w możności. Symptomaty są bardzo niezwykłe.

Inspektor policyi spisywał pilnie słyszane zdania.

(Ciąg dal. nast.).

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu". Druk W. Korneckiego w Krakowie.

CONON DOYLE.

TAJEMNICA BASKERVILLE'ÓW

Dziwne przygody Sherlocka Holmes.

Przekład z angielskiego

EUGENII ŻMIJEWSKIEJ.

I.

Pan Sherlock Holmes.

Pan Sherlock Holmes zwykł był wstawać późno, o ile nie czuwał przez całą noc, a zdarzało mu się to nieraz. Otóż owego dnia wstał wyjątkowo wcześnie. Jadł śniadanie. Stałem przy kominku. Schyliłem się i podniosłem laskę, którą nasz gość zostawił wczorajszego wieczoru. Był to kij gruby, z dużą gałką, utoczoną z drzewa; pod gałką była srebrna obrączka, a na niej napis: „Jakóbowi Mortimer M. R. C. S. od przyjaciół C. C. H.", pod spodem zaś data: r. „1884". Taką laskę staroświecką, mocną, zapewniającą bezpieczeństwo, zwykli nosić starzy lekarze.

— No, i cóż, Watson? Co pan myślisz o tej lasce? Jakie wyprowadzasz wnioski? — zapytał.

Holmes siedział, odwrócony do mnie plecami; widzieć mnie nie mógł, a ja zachowywałem się tak cichutko, że nie mógł się domyślić czem jestem zajęty.

— Masz pan chyba oczy z tyłu głowy... — rzekłem.

— Mam przed sobą srebrny imbryk — odparł — ale powiedz mi, Watson, co myślisz o lasce naszego gościa? Skoro nie zastał nas w domu i nie wytłómaczył celu swych odwiedzin, ta mimowolna pamiątka nabiera wielkiego znaczenia. Chciałbym też wiedzieć, jakie pojęcie tworzysz sobie o tym człowieku?

— Sądzę — odparłem, trzymając się metody dociekań mojego towarzysza — że doktor Mortimer jest lekarzem średniego wieku, zażywającym szacunku; dowodzi tego ów upominek pacjentów.

— Dobrze, wybornie! — pochwalił! mnie Holmes.

— Sądzę dalej, że jest lekarzem prowincjonalnym i że po większej części odwiedza chorych pieszo.

— Dlaczego tak pan przypuszczasz?

— Bo laska, choć pierwotnie ładna, jest tak zniszczona, że żaden lekarz miejski nie chciałby jej używać. Grube okucie żelazne starło się, co dowodzi, że laska była w częstem użyciu.

— Słuszne rozumowanie — przytwierdził Holmes.

— A dalej napis od przyjaciół z C. C. H. świadczy, że lekarz niósł pomoc członkom jakiegoś klubu myśliwskiego (Hunting Club).

— Istotnie, Watson, przechodzisz sam siebie — rzekł Holmes, zapalając papierosa. — Muszę przyznać, że pańskie wnioski są słuszne. Mam pojętnego ucznia. Wyświetliłeś kilka punktów zupełnie ciemnych.

Nigdy jeszcze Holmes nie odzywał się się do mnie w sposób tak pochlebny. Cieszyłem się z jego uznania, na które oddawna już usiłowałem zasłużyć, stosując jego metodę badań w sprawach kryminalnych.

Po chwili milczenia, odebrał mi laskę i przypatrywał się jej gołem okiem. Następnie odłożył papierosa, odszedł z laską do okna i począł jej się przyglądać przez szkło powiększające.

— Ciekawe, bardzo ciekawe... — rzekł, wracając na swoje ulubione miejsce przy kominku.

— Czy pan dopatrzył się jakiego nowego szczegółu, mogącego służyć za wskazówkę? — spytałem, spodziewając się, że nic ważnego nie uszło mojej baczności.

— Zdaje mi się, mój drogi Watson, że prawie wszystkie twoje wnioski były mylne. Pod jednym tylko względem miałeś słuszność, a mianowicie, że posiadacz tej laski jest doktorem prowincjonalnym i że dużo chodzi.

— A więc nie omyliłem się?

— Na tym punkcie — nie.

— A na innych?

— Inne wywody były fałszywe. I tak, naprzykład twierdzisz, że laska jest darem jakiegoś prowincjonalnego klubu myśliwskiego. Ja przypuszczam, że ofiarowali ją lekarzowi pensyonarze szpitala Charing Cross (C. C. H).

— Przyznaję, że to jest prawdopodobniejsze. Jaki pan stąd wyprowadza wniosek?

— Znana jest panu moja metoda badania. Zastosuj ją w praktyce.

— Mogę to tylko wywnioskować, że przed osiedleniem się na wsi, ten lekarz praktykował w mieście.

— Sądzę, że możemy posunąć się jeszcze dalej na drodze przypuszczeń. Ten dar został wręczony w chwili, gdy doktor Mortimer opuszczał szpital, aby rozpocząć praktykę na własną rękę.

— Prawdopodobnie.

— Jakiež mógł on zajmować stanowisko w tym szpitalu? — albo lekarza ordynującego, albo studenta-praktykanta. Zapewne to ostatnie, bo doktor szpitalny, z wyrobioną opinją i liczną praktyką, nie opuszcza zajmowanej pozycji, aby się przesiedlać na prowincję. Doktor Mortimer opuścił szpital przed laty pięciu, jak to wskazuje data na lasce. W owym czasie ukończył zapewne uniwersytet, a więc upada pański wniosek, iż jest człowiekiem średniego wieku. Doktor Mortimer ma lat 30 niespełna, jest uprzejmym, dobrym, niezbyt ambitnym, roztargnionym. Ma psa trochę większego od jamnika, a mniejszego od wyżła.

Roześmiałem się niedowierzająco. Holmes zasiadł wygodnie w fotelu i puszczał kłęby dymu.

— Nietrudno będzie przekonać się, który z nas dwóch ma rację — rzekłem, zbliżając się do szafki bibliotecznej i wyjmując z niej kalendarz z wykazem lekarzy angielskich, oraz ich życiorysem. Z pośród wielu Mortimerów, jeden tylko mógł być tym, o którego nam chodziło. Odczytałem głośno:

„Mortimer Jerzy, lekarz powiatowy w Grimpen, Dartmoor, hrabstwo Devsu. Był studentem-

praktykantem w szpitalu Charing-Cross od roku 1882 do 1884. Otrzymał nagrodę Jacksona za studjum z zakresu patalogji porównawczej, zatytułowane: „Czy choroba jest zboczeniem?“ Jest członkiem szwedzkiego Towarzystwa patologicznego, autorem wielu artykułów, jako to: „Kilka przykładów atawizmu“ (drukowany w „Lancet“ w r. 1882), „Czy idziemy z biegiem postępu?“ („Dziennik Psychologiczny“ 1883). Jest lekarzem powiatowym gmin Grimpen, Thorsley i High Barrow“.

— Widzisz pan, że miałem słuszność — rzekł Holmes. — Obstaję dalej przy moich hypotezach, ze doktor Mortimer musi być uprzejmy, bo tylko człowiek uprzejmy dostaje takie upominki od swoich pacjentów; że nie jest ambitny, bo inaczej nie opuszczałby Londynu dla prowincji, i że jest roztargniony, bo w razie przeciwnym, zamiast laski, zostawiłby swój bilet wizytowy.

— Jakież są pańskie wnioski co do psa?

— Jego pies zwykł nosić laskę w zębach; ponieważ laska jest ciężka, więc ją trzyma pośrodku; w tem miejscu znać ślady psich zębów. Zęby są za duże na jamnika, za małe na wyżła. To może być... tak, to jest pinczer.

Holmes przeszedł przez pokój i stanął we framudze okra. W głosie jego było tyle głębokiego przekonania, że nie mogłem się wstrzymać, aby go nie zapytać:

— Skąd taka pewność?

— Dla bardzo prostej przyczyny, że mam tego psa przed oczyma; stoi za temi drzwiami, a jego właściciel w tej chwili właśnie do nich dzwoni. Proszę cię, Watson, nie wychodź z pokoju. Jest pańskim kolegą, i pańska obecność może mi być przydatną. Nadchodzi ważna chwila. Zbliżają się kroki, które mogą stanowić o przeznaczeniu — złem czy dobrem — niewiadomo. Ciekaw jestem, czego doktor Jerzy Mortimer zażąda od Sherlocka Holmes, specjalisty od przestępstw kryminalnych... Proszę!

Do pokoju wszedł nasz gość. Jego powierzchowność zdziwiła mnie mnie bardzo. Nie wyglądał na prowincjonalnego lekarza. Był wysoki, szczupły, miał nos wąski, wysuwający się ostro z pomiędzy oczu przenikliwych, zasłoniętych ciemnemi okularami, w złotej oprawie. Ubrany był w długi, poplamiony surdut, spodnie miał wystrzępione. Choć jeszcze młody wiekiem, był już przygarbiony; na jego twarzy malowała się dobra wola względem ludzi. Wchodząc, zobaczył odrazu laskę w ręku Holmesa i podbiegł ku niej z okrzykiem radości.

— Tak się cieszę! — zawołał. — Nie byłem pewny, czym ją zostawił tutaj, czy w biurze portowem. Gdybym ją zgubił, sprawiłoby mi to wielką przykrość.

— Wszak to prezent? — rzekł Holmes.

— Tak, panie.

— Od pensjonarzy hotelu Charing Cross...

— Tak, od paru pacjentów. Dali mi ją na pamiątkę mojego ślubu.

— Szkoda, — rzekł Holmes, ściskając mu rękę.

— Czego pan żałuje? — spytał doktor Mortimer ze zdziwieniem.

— Szkoda, że pan rozproszył moje wioski — brzmiała odpowiedz. — A więc powiadasz pan, że to podarek ślubny?

— Tak, panie. Ożeniłem się i dlatego musiałem szpital opuścić; trzeba było założyć dom, postarać się o praktykę samodzielną.

— No, i teraz zyskujesz pan sobie sławę na polu nauki — rzekłem.

— Wszak mam przyjemność mówić z panem Sherlock Holmes?

— Nie, to mój przyjaciel, doktor Watson.

— Miło mi pana poznać. Słyszałem o panu nieraz. Pozwoli mi pan, panie Holmes, zbadać swoją czaszkę. Od pierwszego rzutu oka spostrzegłem, że jest niezwykłą: zdradza zdolności, rzekłbym nawet — genjusz dedukcyjny. Taka czaszka byłaby ozdobą każdego muzeum. Przyznaję, że jej panu zazdroszczę.

— Jesteś pan entuzjastą w swoim zawodzie, tak, jak ja w swoim — odparł detektyw — ale sądzę, że nie przybywasz pan tu po raz wtóry jedynie w zamiarze zbadania mojej czaszki...

— Nie, panie, choć rad jestem, że zdarza mi się sposobność ku temu. Przybyłem do pana, panie Holmes, bo uznaję własną niepraktyczność, a jestem postawiony wobec bardzo trudnego zagadnienia. Ponieważ pan jesteś drugim w Europie ekspertem w sprawach kryminalnych...

— Doprawdy? Czy wolno mi zapytać, kto jest pierwszym?

— W oczach człowieka, przekładającego teorję nad praktykę. pan Bertillon zajmuje niewątpliwie pierwsze miejsce.

— Więc czemuż pan nie zwrócisz się do niego?

— Powiadam, że jest on pierwszorzędną powagą, jako teoretyk. Ale pan, jako praktyk, zajmujesz pierwsze w Europie — to niewątpliwe. Spodziewam się, żem pana nie obraził...

— Trochę — odparł Holmes nawpół żartem — ale jako człowiek praktyczny, chciałbym nareszcie dowiedzieć się, co pana tutaj sprowadza.

II.

Przekleństwo rodu Baskerville.

— Mam w kieszeni rękopis — rzekł doktor Jerzy Mortimer.

— Spostrzegłem to odrazu, gdyś pan wszedł do pokoju — odparł Holmes.

— Manuskrypt jest stary.

— Z ośmnastego wieku.

— Skąd pan wie?

— Z pańskiej kieszeni wychodzi pół cala papieru. Przyglądałem mu się, podczas gdyś pan mówił, a byłbym lichym rzeczoznawcą, gdybym z zewnętrznego wyglądu nie potrafił określić daty rękopisu. Czytałeś pan zapewne moją monografję w tym przedmiocie. Otóż w tym wypadku sądzę, że manuskrypt datuje się z r. 1730.

— Omyliłeś się pan o lat dwanaście. Datowany jest z roku 1742.

Doktor Mortimer wyjął go z kieszeni.

— Ten dokument rodzinny został powierzony mojej pieczy przez sir Karola Baskerville, którego śmierć tragiczna poruszyła przed trzema miesiącami całe Devonshire. Dodam, że byłem jego osobistym przyjacielem, zarówno jak lekarzem domowym. Był to człowiek dzielny, rozumny, praktyczny i tak samo, jak ja, nie podlegający złudzeniom wyobraźni. A jednak wierzył święcie słowom tego dokumentu i był przygotowany na rodzaj śmierci, który go spotkał...

Golmes wyciągnął rękę po manuskrypt i począł mu się bacznie przyglądać.

— Zwracam pańską uwagę, Watson, na kolejne używanie krótkiego i długiego s. Jest to jedna ze wskazówek, która mi pomogła do określenia daty.

Spojrzałem przez ramię na papier, pożółkły ze starości. Na pierwszej stronicy był nagłówek: „Baskerville Hall“, a pod spodem data: „1742“,

— To zapewne potwierdzenie jakiejś legendy — wtrącił Holmes.

— Rzeczywiście — przyznał doktor Mortimer. — Legenda tyczy się rodu Baskervillów.

— Przypuszczam jednak, że pragniesz pan zasięgnąć mojej rady w sprawie aktualniejszej i bardziej realnej — rzekł Holmes.

— Tak. Chodzi mi o fakt zagadkowy, który zdarzył się niedawno; muszę rozstrzygnąć zagadkę w ciągu dwudziestu czterech godzin. Ale manuskrypt jest krótki i ma ścisły związek z tą sprawą. Zatem odczytam go panu, jeśli pan pozwoli.

Holmes skinął głową. Zasiadł wygodnie w fotelu, złożył ręce tak, że palce stykały się z palcami, przymknął oczy i słuchał z rezygnacją.

Dr. Mortimer podsunął manuskrypt pod światło i głosem dobitnym czytał, co następuje:

— „Rozmaite pogłoski krążyły o Psie Baskervillów, lecz ja pochodząc z prostej linji od Hugona Basskerville, słyszałem tę historję z ust mojego ojca, który znowu słyszał ją od swojego, więc ją spisuję z całą wiarą. Pragnąłbym, abyście i wy, moi synowie, nabrali głębokiego przekonania, że Sprawiedliwość, karcąca winę, może ją odpuścić, i że żadna kara nie jest tak ciężką, aby modlitwa i pokuta nie zdołały jej zatrzeć. Niech te dzieje nauczą was, że nie należy bać się owoców przeszłości, lecz raczej być ostrożnym na przyszłość, aby dzikie chucie, za które nasz ród poniósł tak srogą karę, nie rozkiełzały się znowu na naszą zgubę.

„Dowiedzcie się więc, że za czasów Wielkiej Rewolucji (polecam wam przeczytać dzieje tej epoki, skreślone przez lorda Clarendon); otóż w owych czasach w zamku Baskerville rządził Hugon, a był to, przyznać muszę, człowiek porywczy i bezbożnik.

„Sąsiedzi przebaczyliby łatwo to ostatnie wykroczenie, bo nasza okolica nie słynęła nigdy z religijności, ale nie mogli mu przebaczyć wrodzonego okrucieństwa.

„Otóż ów Hugon pokochał (jeśli można tem mianem nazwać tak dzikie uczucie), pokochał zatem córkę czynszownika, dzierżawiącego grunta w pobliżu dóbr Baskerville. Ale dziewczyna, będąc skromną i bogobojną, obawiała się go jak szatana. Otóż pewnego wieczora na jesień, w dzień św. Michała, ów Hugon na czele pięciu czy dziesięciu kompanów, zakradł się do farmy i uprowadził dziewczynę, korzystając z chwili, gdy ojciec i bracia jej byli nieobecni.

„Przywieźli biedaczkę na zamek i osadzili ją w komnacie wieżowej, Hugon i jego towarzysze zasiedli do nocnej uczty, wedle zwyczaju. Słysząc ich pijackie wrzaski, dziewczyna truchlała, lecz była z natury dzielną, więc opanowała strach i postanowiła ratować się. Ogromna brzoza osłaniała i do dziś dnia osłania okno tej narożnej komnaty. Dziewczę uczepiło się jej gałęzi i spuściło się po nich na dół, a dostawszy się na swobodę, łąkami i polami biegło do fermy swego ojca, oddalonej o trzy mile od zamku.

„Wkrótce potem, Hugon, zostawiwszy swoich kompanów przy butelkach i kartach, podążył do swojej ofiary, a widząc, że ptaszek opuścił klatkę, jak szalony powrócił do komnaty biesiadnej, wytłukł szkło i wśród okropnych przekleństw i złorzeczeń zaprzysiągł, że odda ciało i duszę djabłu, jeśli ten dopomoże mu odzyskać dziewczynę. Pijani towarzysze słuchali go w przerażonem milczeniu, tylko jeden, gorszy, a może bardziej pijany od innych, poddał myśl, aby za dziewczyną puścić w pogoń psy podwórzowe.

„Słysząc to Hugon, wybiegł przed dom, zwołał chłopców stajennych, kazał im osiodłać swoją klacz ulubioną i spuścić psy z łańcuchów; jednemu, najdzikszemu, dał do powąhania chustkę dziewczyny, zostawioną w narożnej komnacie, i popędził przez łąki w noc księżycową.

„Towarzysze hulanki rzucili się do koni, chwycili pistolety i pognali za swoim amfitrjonem, a było ich razem trzynastu. Księżyc świecił jasno, pędzili galopem drogą, którą musiała uciekać dziewczyna, jeśli podążyła do domu.

„Ujechali z półtory mili, gdy spostrzegli nocnego pastucha. Pytali go, czy nie widział brytanów. Wystraszony, odparł, że przed chwilą biegły za jakąś dziewczyną.

— „Ale widziałem coś więcej — mówił. — Hugon Baskerville pędził tędy na swojej karej klaczy, a za nim leciał jakiś pies okropny, czarny, jakby szatan wcielony. Niech mnie Bóg broni, żebym kiedy jeszcze miał spotkać podobnego potwora na mojej drodze.

„Pijani towarzysze cisnęli pastuchowi przekleństwo i pognali naprzód. Ujechali jeszcze z pół mili. Nagle włosy stanęły im dębem ze strachu, bo oto przed nimi pędziła klacz kara, kryta pianą, bez siodła i bez jeźdźca.

„Towarzysze zbili się w gromadkę, bo ich strach oblatywał, lecz jechali dalej, choć każdy z nich, gdyby był sam, zawróciłby konia i uciekł do zamku, ale jeden wstydził się drugiego. Człapiąc wolno, zrównali się wreszcie z brytanami; te, choć znane w całej okolicy ze swej zajadłości, leżały teraz w rowie, wystraszone, i wyły przeraźliwie.

„Kompania zatrzymała się. Jeźdźcy otrzeźwieli odrazu. Jedni chcieli zawracać, drudzy postano-

wili przekonać się, co zaszło. Księżyc świecił tak jasno, że można było szpilki zbierać.

„O milę dalej, na polu, sterczały wysokie kamienie. Pomiędzy nimi leżała dziewczyna martwa, a opok niej Hugon Baskerwille — nieżywy.

„Ale nie ten widok, choć straszny i niespodziany, najeżył włosy pijackiej kompanji; straszniejszy obraz przedstawił się ich oczom: nad zwłokami Hugona stał pies czarny, ogromny, wyszczerzał zęby i błyskał ślepiami. Jeden z towarzyszów padł na miejscu, rażony strachem, drugi utracił zmysły, reszta hulaszczej kompanji do końca życia nie zapomniała tego wrażenia.

„Taką jest, moi synowie, legenda o psie, który od owego czasu trapił naszą rodzinę. Spisałem ją, abyście wiedzieli, jak się rzeczy istotnie miały i nie wierzyli krążącym baśniom. Nie będę taił przed wami, że po tym wypadku, wielu mężczyzn w naszym rodzie umarło śmiercią nagłą krwawą i tajemniczą. Jednak nie traćmy wiary w miłosierdzie Boskie, które karci niewinnych, tylko do trzeciego lub czwartego pokolenia. Opatrzności Boskiej, moi synowie, was polecam i ostrzegam, abyście nie przechodzili przez tę łąkę po nocy, gdy złe duchy są rozkiełzane".

(To są przestrogi Hugona Baskerville, spisane dla jego synów, Rogera i Jana, z rozkazem, aby o tem wszystkiem nie wspominali swej siostrze, Elżbiecie).

* * *

Doktor Mortimer skończył czytać tę niezwykłą opowieść, nasunął na oczy okulary i spojrzał na pana Sherloka Holmes. Ten ziewnął i rzucił papierosa w ogień.

— No i cóż? — rzekł.

= Czy historja ta nie jest interesującą?

Zapewne, dla zbieracza starych legend i baśni.

Doktor Mortimer wyjął z kieszeni gazetę.

— A teraz, panie Holmes — rzekł — pokażę panu coś aktualniejszego. Oto dziennik „Devon County Chronicle" z dnia 14-go maja roku bieżącego. Jest w nim opis faktów, odnoszących się do sir Karola Baskerville, która zdarzyła się na kilka dni przed ową datą.

Mój przyjaciel nachylił się i począł słuchać uważniej. Doktor Mortimer czytał:

„Niedawna i nagła śmierć sir Karola Baskerville, kandydata liberalnego z hrabstwa Devon, przejęła całą naszą okolicę zdumieniem i trwogą. Jakkolwiek sir Karol Baskerville mieszkał w Baskervilie Hall od niedawna, lecz jego uprzejmość, hojność i szlachetność, zjednały mu szacunek tych wszystkich, którzy mieli z nim do czynienia. W dzisiejszej epoce parweniuszów miło jest widzieć potomka starożytnego a podupadłego rodu, odzyskującego fortunę swych przodków i przywracającego świetność staremu nazwizku.

„Sir Karol, jak wiadomo, zyskał duży majątek na spekulacjach w Afryce południowej, a będąc z natury przezornym, nie kusił dalej szczęścia, które mogłoby się od niego odwrócić, jak to czyni z innymi, i zrealizowawszy swoją fortunę, powrócił do Anglii.

„Przed dwoma laty zaledwie osiadł w Baskerviile Hall, znane są jego szerokie plany odnowienia starej siedziby i wprowadzenia ulepszeń w gospodarstwie rolnem. Śmierć przeszkodziła ich urzeczywistnieniu.

„Będąc bezdzietnym, pragnął aby cała okolica korzystała z jego fortuny i niejeden z sąsiadów ma ważne powody do opłakiwania jego przedwczesnego zgonu. Donosiliśmy często na tych szpaltach o jego hojnych ofiarach na instytucje publiczne.

„Śledztwo nie wyjaśniło dotychczas okoliczności, towarzyszących śmierci sir Karola. Krążą tu najdziwaczniejsze legendy, przypisujące ów nagły zgon działaniu sił nadprzyrodzonych.

„Sir Karol był wdowcem, uważano go powszechnie za dziwaka. Pomimo dużej fortuny, miał przyzwyczajenia proste, skromne. Personal służbowy w Baskerville Hall, składał się z kamerdynera, nazwiskiem Barymore, jego żony, kucharki i gospodyni w jednej osobie. Oboje zeznają, że zdrowie sir Karola w ostatnich czasach było nie tęgie, że rozwijała się w nim choroba serca, objawiająca się bladością, brakiem tchu i częstemi omdleniami. Doktor Jerzy Mortimer, przyjaciel i domowy lekarz nieboszczyka, złożył zeznanie w tym samym duchu.

„Sir Karol Baskerville zwykł był co wieczór, przed pójściem na spoczynek, przechadzać się po słynnej alei wiązów przed zamkiem. Małżonkowie Barymore opowiadają, że wieczorem 4-go maja, ich pan oznajmił im, że nazajutrz wyrusza do Londynu i kazał pakować kuferek.

„Owego wieczoru wyszedł, jak zwykle, na przechadzkę, wśród której wypalał cygaro.

„Z tej przechadzki już nie powrócił.

„O dwunastej Barrymore, widząc drzwi frontowe jeszcze otwarte, zaniepokoił się, i wziąwszy latarnię, poszedł szukać swego pana. W ciągu dnia deszcz padał, więc łatwo było dojrzeć ślady stóp sir Karola wzdłuż alei. W połowie drogi jest furtka, prowadząca na łąkę.

„Były ślady, że sir Karol stał przy niej przez czas pewien, następnie skręcił znowu w aleję. Znaleziono jego trupa na jej końcu.

„Pomiędzy innemi dotychczas nie wyjaśniono jednego faktu, wynikającego z zeznań Barrymora, a mianowicie, że ślady kroków jego pana zmieniły się z chwilą, gdy stał przy furtce i że odtąd szedł na palcach.

„Niejaki Murphy, cygan, handlujący końmi, znajdował się wówczas na łące, w pewnej odległości od nieboszczyka, ale sam przyznaje, że był pijany. Powiada, że słyszał krzyki, ale nie może określić, skąd wychodziły.

„Na ciele sir Karola nie było śladów przemocy lub gwałtu, a chociaż lekarz zeznaje, że wyraz twarzy nieboszczyka był tak zmieniony, że on, doktor Mortimer, w pierwszej chwili poznać go nie mógł, rzeczoznawcy tłómaczą to anewryzmem serca, przy którym zachodzą podobne objawy.

„Sekcja wykazała przedawnioną wadę serca, sędzia śledczy potwierdził badanie lekarskie. Pożądanem jest, aby spadkobierca sir Karola mógł

objąć jaknajprędzej majątek i prowadzić dalej chlubną działalność, przerwaną tak nagle i tak tragicznie.

„Gdyby prozaiczne orzeczenie sędziego śledczego i rzeczoznawców nie położyło końca romantycznym historjom, krążącym na temat owej śmierci, nie łatwo byłoby znaleźć właściciela Baskerville Hall.

„Domniemanym spadkobiercą jest pan Henryk Baskerville, syn młodszego brata sir Karola. Ów młodzieniec przed kilku laty wyruszył do Ameryki. Zarządzono poszukiwania. Dowie się on zapewne niebawem o zmianie swego losu“.

Doktor Mortimer złożył gazetę i wsunął ją do kieszeni, mówiąc:

— To są fakty, powszechnie znane.

— Dziękuję panu za zwrócenie mojej uwagi na sprawę istotnie ciekawą — rzekł pan Holmes. — Czytałem o niej, co prawda, w dziennikach, ale w owym czasie byłem zajęty kameami, które zniknęły z muzeum Watykańskiego. Chciałem się przysłużyć Papieżowi i straciłem z oczu to, co się jednocześnie działo w Anglji. Ten artykuł, powiadasz pan, zawiera fakty, znane powszechnie?

— Tak.

— Zechciej więc pan uwiadomić mnie teraz o tem, czego nikt nie wie.

Sherlock Holmes oparł się o poręcz fotelu i znowu złożył ręce tak, aby palce stykały się końcami.

— Uczynię to — rzekł doktor Mortimer, zdradzając coraz większe wzburzenie. — Powiem panu to, czego nie mówiłem jeszcze nikomu. Zataiłem to przed sędzią śledczym z pobudek, które pan zapewne zrozumie. Jako człowiek nauki, nie chciałem zdradzać się publicznie, iż wierzę w przesądy. Dalej, rozumiałem, że gdyby utwierdziła się wiara w nadprzyrodzone siły, rządzące w Baskerville Hall, nikt nie zechciałby objąć starego zamku w posiadanie. Dla tych dwóch powodów nie zeznałem przed sądem wszystkiego, co wiem — albowiem nie zdałoby się to na nic sędziemu śledczemu — ale z panem będę zupełnie szczery.

„Okolica jest mało zaludniona, rezydencje rzadkie, a siedziby włościańskie rozrzucone na znacznej odległości od siebie.

„Widywałem często sir Karola Baskerville, który był spragniony towarzystwa. Oprócz p. Frankland w Lafterhall i naturalisty, p. Stapleton, w pobliżu niema ludzi inteligentnych. Sir Karol był skryty, małomówny. Zbliżyliśmy się z powodu jego choroby, przytem łączyły nas wspólne upodobania naukowe. Przywiózł wiele ciekawych wiadomości z Afryki Południowej. Spędziliśmy niejeden miły wieczór na rozprawach o anatomii porównawczej.

„W ciągu ostatnich paru miesięcy spostrzegłem, że system nerwowy sir Karola był nadwerężony. Wziął tak dalece ową legendę do serca, że choć co wieczór odbywał spacery, nic go nie mogło skłonić do wejścia na łąkę po zachodzie słońca. Prześladowała go wciąż obawa upiorów, i pytał mnie nieraz, czym nie widział jakiego dziwacznego stworzenia i czym nie słyszał szczekania. Te pytania zadawał mi zawsze głosem drżącym.

„Wraziła mi się w pamięć jedna z moich wizyt u niego przed trzema tygodniami. Stał w sieni. Gdym schodził z wózka, spostrzegłem, że patrzy po przez moje ramię ze strachem w oczach. Odwróciłem się i spostrzegłem jakiś kształt dziwny, podobny do dużego, czarnego cielęcia. Przeleciało to po za moim wózkiem.

„Sir Karol był tak wzburzony, że poszedłem szukać tego osobliwego zwierzęcia. Ale nigdzie go nie było. Mój pacjent nie mógł się uspokoić. Zostałem z nim przez cały wieczór i wtedy, tłómacząc swe wzburzenie, opowiedział mi całą tę historję.

„Wspominam o tym drobnym epizodzie, gdyż nabiera on znaczenia wobec tragedji, która potem nastąpiła; na razie nie przywiązywałem do tego wagi i dziwiłem się wzburzeniu sir Karola.

„Miał jechać do Londynu z mojej porady. Wiedziałem, że jest chory na serce i że ciągły niepokój źle wpływa na jego zdrowie. Sądziłem, że parę miesięcy, spędzonych na rozrywkach, uwolni go od tych mar i przywidzeń. Nasz wspólny przyjaciel, pan Stupleton, był tego samego zdania. I oto wynikło nieszczęście.

„Zaraz po śmierci sir Karola, kamerdyner Barrymore wyprawił do mnie grooma Perkinsa; przybyłem do Baskerville Hall w godzinę po katastrofie. Zbadałem wszystkie fakty, przytoczone w śledztwie. Szedłem śladami, pozostawionemi w Alei Wiązów, obejrzałem miejsce przy furtce, gdzie sir Karol zatrzymał się, i zmiarkowałem, że od owego miejsca szedł na palcach i że nie było śladu innych kroków, oprócz późniejszych, Barrymora. Wreszcie obejrzałem starannie zwłoki, które pozostały nietknięte do mego przybycia.

„Sir Karol leżał na wznak z rozciągniętemi rękoma, jego twarz była tak zmieniona, że zaledwie mogłem ją poznać. Na ciele nie było żadnych obrażeń. Ale Barrymore w toku śledztwa uczynił jedno zeznanie fałszywe. Powiedział, że nie było żadnych śladów dokoła trupa. Nie spostrzegł ich, ale ja dostrzegłem — zupełnie świeże, w pobliżu.

— Czy ślady kroków?

— Tak.

— Męzkie, czy kobiece?

Doktor Mortimer patrzył na nas przez chwilę dziwnemi oczyma, wreszcie odparł szeptem:

— Panie Holmes, były ślady kroków... psa... olbrzymiego.

III.

Zagadka.

Przyznaję, że gdym słuchał tego opowiadania, przebiegały po mnie dreszcze. I doktor był żywo poruszony.

— Widziałeś pan te ślady? spytałem.

— Tak na własne oczy; tak wyraźnie, jak teraz widzę pana.

— I nic pan nie mówiłeś?

— Poco?

— Dlaczego nikt inny nie dostrzegł tych śladów?

— Pozostały o jakie dwa łokcie od trupa; nie zwrócono na nie uwagi i jabym ich nie zauważył, gdybym nie był znał tej legendy.

— Dużo jest psów w okolicy?

— Tak, ale to nie był zwykły pies. Powiedziałem już panom, że był ogromny.

— Czy nie zbliżył się do trupa?

— Nie.

— Czy noc była jasna?

— Nie; pochmurna i wilgotna.

— Ale deszcz nie padał?

— Nie.

— Jak wygląda aleja?

— Jest wysadzana dwoma rzędami wiązów i opasana żywopłotem, wysokości 12 stóp. Sama aleja ma 8 stóp szerokości.

— Czy jest co pomiędzy żywopłotem a aleją?

— Tak; po obu stronach biegnie trawnik, szerokości 6 stóp.

— O ile zrozumiałem, jest wejście przez furtkę?

— Tak, furtka prowadzi na łąkę.

— Czy są inne wejścia?

— Niema.

— Tak, iż aby wkroczyć w Aleję Wiązów, trzeba wyjść z domu, lub iść przez łąkę?

— Jest trzecie wejście przez altanę, na drugim końcu alei.

— Czy sir Karol doszedł do tej altany?

— Nie, znaleziono go o pięćdziesiąt łokci od niej.

— A teraz zechciej mi pan powiedzieć, doktorze Mortimer — będzie to szczegół ważny — czy ślady, któreś pan spostrzegł, pozostały na żwirze, czy na trawie?

— Nie mogłem dojrzeć śladów na trawie.

— Czy ślady były po tej samej stronie, co furtka?

— Tak, po tej samej.

— Bardzo mnie pan zaciekawia. Jeszcze jedno pytanie. Czy furtka była zamknięta?

— Zamknięta na klucz i zaryglowana.

— Jak jest wysoka?

— Ma około 4-ch stóp.

— A więc można ją łatwo przesadzić?

— Tak.

— A jakie ślady znalazłeś pan przy furtce?

— Żadnych, któreby mogły zwrócić uwagę.

— Czyżeś pan nie oglądał ziemi dokoła?

— I owszem, oglądałem.

— I nie dostrzegłeś pan żadnych śladów?

— Były bardzo niewyraźne. Widocznie sir Karol stał tutaj przez pięć do dziesięciu minut.

— Skąd pan to wie?

— Gdyż popiół z cygara spadł dwa razy na ziemię.

— Wybornie. Znaleźliśmy kolegę wedle naszego serca. Prawda Watson? Ale jakież to były ślady?

— Ślady stóp na żwirze. Innych znaków dostrzedz nie mogłem.

Sherlock Holmes uderzył ręką w kolano.

— Czemu mnie tam nie było! zawołał. — Jest to wypadek bardzo ciekawy, dający obfite pole do naukowej ekspertyzy. Czemuż nie mogłem odczytać tej żwirowej karty, zanim ją zatarły inne stopy! Doktorze Mortimer, że też mnie pan nie uwiadomił wcześniej! Jeśli nam się nie uda wyświetlić sprawy, cała odpowiedzialność spadnie na pana.

— Nie mogłem pana wzywać, panie Holmes, bo w takim razie musiałbym ujawnić te fakty przed całym światem. a mówiłem już, żem sobie tego nie życzył. Zresztą... zresztą...

— Czemu pan nie kończysz?

— Bywają dziedziny, niedostępne nawet dla najbystrzejszych i najdoświadczeńszych detektywów...

Chcesz pan powiedzieć, że wchodzi to w zakres rzeczy nadprzyrodzonych?

— Tego nie twierdzę stanowczo.

— Ale pan tak myślisz w głębi ducha.

— Od owej tragedji doszły do mojej świadomości fakty, sprzeczne z ogólnemi prawami natury.

— Naprzykład?

— Dowiaduję się, że przed tą katastrofą, kilku ludzi widziało na łące niezwykłe stworzenie, podobne do złego ducha Baskervillów. Wszyscy mówią, że był to pies ogromny, przeźroczysty. Wypytywałem tych ludzi — jeden z nich jest włościaninem, drugi kowalem, trzeci farmerem. Ich zeznania są jednakowe. W całej okolicy zapanował strach przesądny. Nikt po nocy nie przejdzie przez łąkę.

— I pan, człowiek nauki, wierzy w takie baśnie? zawołał Holmes.

— Dotychczas moje badania ogarniały świat zmysłów; usiłowałem walczyć z chorobą, ale ze złymi duchami walczyć nie umiem. Zresztą musisz pan przyznać, że ślady stóp są dowodem materjalnym. Pies Hugona nie był także zjawiskiem nadprzyrodzonem, skoro mógł zagryźć na śmierć, a jednak miał w sobie coś szatańskiego.

— Widzę, że pan przeszedłeś do obozu spirytystów. Ale zechciej mi powiedzieć jeszcze jedno, doktorze Mortimer. Jeżeli pan skłaniasz się ku takim zapatrywaniom, dlaczego przyszedłeś zasięgnąć mojej rady? Powiadasz pan jednym tchem, że nie warto przeprowadzać śledztwa w sprawie zabójstwa sir Karola, a jednocześnie prosisz mnie, żebym się tą sprawą zajął.

— Nie prosiłem o to.

— Więc w jaki sposób mogę panu dopomódz?

— Radząc mi, co mam zrobić z sir Henrykiem Baskerville, który przybywa na dworzec Waterloo — doktor Mortimer spojrzał na zegar, za godzinę i kwadrans — dokończył.

— Czy on jest spadkobierbą?

— Tak. Po śmierci sir Karola zasięgaliśmy wiadomości o tym gentlemanie i dowiedzieliśmy się, że ma fermę w Kanadzie. Wedle naszych informacyj, jest to młodzieniec bez zarzutu. Nie mówię teraz jako lekarz, lecz jako wykonawca testamentu sir Karola.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu". — Druk W. Korneckiego w Krakowie.